

ZAWÓD SPADKOBIERCA



Z rodziną
dobrze wychodzi się
tylko na zdjęciach



KATARZYNA KOWALEWSKA

KATARZYNA KOWALEWSKA

ZAWÓD

SPADKOBIERCA

BOOK  END

Copyright © Wydawnictwo BOOKEND, 2023
Copyright © Katarzyna Kowalewska, 2023

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz

Skład i łamanie

Andrzej Zyszczak – Zyszczak.pl

ISBN 978-83-967430-3-9

Kraków 2023

Wydawnictwo BOOKEND

bookend.wydawnictwo@wp.pl

www.bookend.pl

Capital Village Sp. z o.o.

ul. Gęsia 8/202, 31-535 Kraków

Dystrybucja

Motyle Książkowe

Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa

www.motyleksiazkowe.pl

Dla wszystkich dzieci MTV

Przez żołądek do Obierca

Zanim nauczyłem się pisać, wiedziałem już, w którym miejscu układa się sztuczce deserowe i że ostrze noża należy skierować w stronę talerza. Do zupy nie wolno podawać alkoholu, a do ryb pasuje tylko wytrawne białe wino. Ani razu nie miałem ochoty zastosować zasad etykiety przy stole, choć zdarzały się chwile, jak dziś, kiedy powinienem był je sobie wziąć do serca. Za późno się jednak zorientowałem.

– *Bon appétit!* – zachęciła Kinga i umieściła mi przed twarzą talerz rozłożysty jak kapelusze Hanki Bielickiej.

Z naczynia powiało grozą. Gapiło się na mnie pięć par czarnych oczu. To ty jesteś winien naszej śmierci przez zanurzenie w skwierczącym tłuszczu – mówiło spojrzenie różowych robali. Mogłem iść o zakład, że

chciały ze mną wyrównać rachunki. Kierunek, jaki wskazywały ich odnóża i wąsy, nie pozostawiał wątpliwości. Nigdy dotąd w konfrontacji z robalem nie odniosłem porażki, ale z tymi stworzeniami nie miałem odwagi się spierać. Tu i tam wychylały się czerwone szczypce, których zadaniem było ucinąć wszelkie dyskusje.

– Maciek, wszystko w porządku? Nie smakują ci owoce morza? – spytała Kinga głosem *à la* szlifierka, na który zwróciłem uwagę już na imprezie zapoznawczej, ale wtedy postanowiłem dać jej szansę. Szlifierka szlifierką, ale dziewczyna miała biust jak Mariah Carey. I oczy. Uśmiech też. Przyznaję się, przede wszystkim biust. Ale wyobraźcie sobie sytuację: z głośników leci *I can't live, if living is without you*, a słowiańska Mariah kołysze biodrami i...

– Halo, Ziemia do Maćka!

Szlifierka.

– No co ty! – zełgałem mechanicznie, bo w myślach wciąż ścisnąłem biodra wokalistki. Musiałem jednak puścić, ponieważ oddział marines na talerzu czekał na mój ruch, a szefowa sztabu generalnego traciła powoli cierpliwość. – Owoce morza są super – dodałem dla większej wiarygodności, ale Kinga nie połknęła haczyka.

– Nawet nie spróbowałeś. – Wskazała na komplet sztuczków zawiniętych w czystą serwetkę.

– Po prostu podziwiam twoje dzieło. Doskonała kucharska robota. O, proszę, niniejszym zaczynam.

Wziąłem do ręki widelec i podłubałem w rukoli. Pomiedzy liśćmi czekały na mnie dalsze atrakcje. Konkretnie: glutowate spirale z mackami. Przełknąłem ślinę i rozejrzałem się za torebką, jakby co. W zasięgu wzroku nie znalazłem niczego odpowiedniego. Trudno, najwyżej wykorzystam siatkę ze strojem na siłownię. Przed spaniem chodzę na bieżnię, więc wziąłem ze sobą manele. W razie gdyby Mariusz zapytał, co się stało, rozegram to miękko. Spojrzę na wymiociny jak na integralny element koszulki i powiem:

– Dałem z siebie wszystko, aż wypłułem płuca.

– Prosto na koszulkę? Nie lepiej było skoczyć do klopa?

– E tam, łajza, a nie biegacz, kto robi sobie przerwy w trakcie maratonu.

Chyba wyjdę z tego z twarzą, prawda? Okej, obetrę najpierw papierem.

– Z twojej miny można wyczytać co innego – zauważyła Kinga, odgrywając faceta po wypiciu setki, która mu nie weszła.

Zrobiła na mnie wrażenie ta młoda dama w niebieskiej bluzce. Jej mina doskonale obrazowała sytuację, z jakimi przychodziło mi się mierzyć co weekend. Mariah Carey, której nieobce są ludzkie troski. Macieju,

Kingo, oto połączył was los. Nie ma sensu walczyć z tym uczuciem. Tylko te owoce morza psuły odbiór na moim radarze zgodności. Ale Mariah śpiewała: *But I guess that's just the way the story goes. Widać tak jednak musi być.* Mariah zna się na rzeczy. Wybiorę najmniejsze żyjątko – zamknę oczy, wstrzymam oddech – i połknę w całości. Czym takie macki mogłyby mi zaszkodzić?

Witajcie z powrotem, koleżanki z głębin – pomyślałem, a Kinga uśmiechnęła się i zachęciła gestem do jedzenia. To mi dodało odwagi. Naprowadziłem widelec na obiekt i zastygłem. Między dwiema pomarańczowymi skorupami ujrzałem cipki. Poważnie. Klasyczne cipki z ich pofałdowaną architekturą, tylko o innej kolorystyce. Żółtawo-bure.

– O, widzę, że jesteś amatorem małży – podchwyciła Kinga, podczas gdy ja szczyrzyłem się do talerza.

– Nie inaczej! Bez małży to danie byłoby jak listonosz bez roweru.

Jestem mistrzem porównań. Ktoś przegapił? Nie szkodzi, znajdzie się jeszcze okazja do wyrażenia podziwu.

– Wcinaj, zanim wystygnie – ponagliła kandydatka na moją drugą połowę pomarańczy.

Rozgarnąłem ostrożnie szczypce. Robale zmieniły szyk. Większość z nich leżała teraz odnóżami do góry. Poddały się, wyciągnęły kopyta. Wziąłem akt kapitulacji

za dobrą monetę i wyłowilem widelcem jedną z cipek. Zafalowała, jak galaretka Gellwe, smak nieokreślony, i wywinęła się z powrotem na talerz. Musiałem działać. Kinga oparła brodę na splecionych dłoniach i zaczęła nabierać podejrzeń. Nie ma sprawy, moja droga, zaraz się przekonasz, jakim to jestem amatorem małży.

Zdecydowanym ruchem wbiłem widelec w losowo wybraną treść talerza. Macki i dwie cipki. Dam radę, choć miałem nadzieję na rukolę. W podobnych sytuacjach przypominam sobie starego kurdupła zapoznanego na wczasach, pana Kazia, który każde zdanie, zamiast kropką, kończył stwierdzeniem: *trzeba lubić, co się ma*. Nawet wtedy, gdy zrzucił z podestu dyrygenta, wskutek czego pożegnał się z etatem w Filharmonii Narodowej. Zdecydował wówczas, że rozpocznie karierę puzonisty w Miejskiej Orkiestrze Dętej w Szydłowcu. A na koniec powiedział: *tak, tak, trzeba lubić, co się ma*. I tyle go widzieliśmy.

Kinga tymczasem, *maitre cuisinier*, wyglądała na coraz bardziej zniecierpliwioną. Nie trzeba było mieć dyplomu z psychologii, żeby to zauważyć. Nie przełknęła ani kęsa z własnego talerza. Wytrzeszczała na mnie oczy i czekała.

Nie mogłem przedłużać tej chwili w nieskończoność, zwłaszcza że Mariah Carey w ułamku sekundy przepoczwarzyła się w Rowana Atkinsona, za którym

nie przepadałem. Czułem również, że jeszcze chwila i obleję jakiś test. Dlatego połknąłem na raz to, co miałem na widelcu. Proszę, dokonało się. Mogliśmy zatrzymać stoper. Niech zagrzmia trąby, oto Maciej Borowski przeżył cud jedzenia.

Byłoby cudownie zacząć teraz świętować, lecz niestety zamieniliśmy się rolami. Teraz nie Kinga, a ja wybałuszałem oczy. Zalew Obierecki. Nagle przypomniał mi się ten znajomy aromat mułu i butwiejącego zielska w moim rodzinnym Obiercu. Tkwiący w podświadomości, bo oto stanęło mi przed oczami wspomnienie brunatnego paskudztwa, które dryfowało po tafli wody. Z Piotrkim, kumplem z dzieciństwa, skakaliśmy na dechę z pomostu. On już był w wodzie, ja się rozpędziłem, skoczyłem i siłą uderzenia wzbiłem w powietrze wodorost, który wylądował koledze na czole. Chlast! Piotrek dostał z liścia, że tak powiem.

Zakryłem usta dłonią. Złapałem serwetkę i obejrzałem z nadzieją, że można z niej wykombinować worek. Nie można było, za mała. Zasłoniłem się drugą dłonią. Ciekawe, czy zmieszczę w obu całą zawartość żołądka. Zabulgotało mi w brzuchu. Cholera! Spojrzałem w dół i pogratulowałem sobie bezmyślności. Macki. Odnóża. Wąsy. Żołądek zaczął grać nowoczesny jazz. Zwalniał, przyspieszał, gubił rytm, odnajdował, przyłączały się nowe instrumenty.

Drzwi do łazienki – pomyślałem w ostatniej chwili. Na oko osiem długich kroków. Wystrzeliłem z krzesła. Pokonałem odległość w sześciu susach. Usain Bolt. Gdzie to pieprzone światło?! Nie znalazłem. Bryzg! Wizg! Na ścianę chlusnęła bura masa. Przyklęknąłem i wypuściłem głośno powietrze. Otarłem usta rękawem i pewnie zacząłbym się modlić, gdyby nie fakt, że jestem ateistą. Z tapety przy drzwiach do łazienki spływała pomidorowa i dwie ciemnożółte cipki.

Nadbiegła nieświadoma strat gospodyni. Matka Teresa przybyła mi służyć pomocą.

– Maciek, wszystko...? Jasna dupa! Moja tapeta w stylu safari! Ty gadzie! Co ty narobiłeś?!

W tym miejscu skończyły się uprzejmości. Amor wyfrunął przez uchylony lufcik, pokazując tyłek. Nastrój prysł. Kinga odciągnęła mnie od ściany i wywlekła do przedpokoju. Niewiarygodne, dysponowała siłą prasy hydraulicznej. Szlifierka i prasa w jednym. Kobieta-
-obrabiarka.

– Kinga, ja nie chciałem. Wszystko wytłumaczę – wymamrotałem, zasłaniając twarz ręką. Bałem się. Dla ratowania honoru udałem, że wycieram resztki jedzenia.

– Co wytłumaczysz?! Że na tym polegają twoje arystokratyczne maniery?!

– Jakie maniery? Ty mnie przypadkiem z kimś nie pomyliłaś? Ja Maciek jestem. Chłopak z Obierca.

– Ach tak?!

– Ach tak. Lubię kolory jesieni i herbatę z imbirem. Naprawdę spoko ze mnie gość.

– Poważnie?! Nie zauważyłam – pomstowała dalej, a ja rozkładałam ręce. Zawahała się na jeden oddech. – Zabierz tę swoją torbę Adidasa. Ha, ha! Nie było większego nadruku? I nie pokazuj mi się więcej na oczy.

– A pójdziesz ze mną jutro do kina? Będzie ciemno, w ogóle mnie nie dostrzeżesz.

– Wypad – podsumowała i wycelowała palcem w drzwi.

Nie pozostało mi nic innego, jak zabrać torbę i opuścić lokal. Dla ścisłości, logo Adidasa nie było takie duże. Piętnaście na trzydzieści. Bez przesady.

Zlazłem z czwartego piętra kamienicy i ruszyłem przed siebie. Było ciemno, deszcz siąpił, gołąb srał na gzymsie. Zaraz wzbije się w powietrze i narobi mi na głowę.

Zadzwoiłem do Mariusza. Sytuacja kryzysowa. W takich chwilach przyjaciel jest jak gąbka antystresowa. A że nie miałem jej pod ręką, żeby poucisnąć, postanowiłem się wyżyć na nim. Z braku laku i kumpla przycisnąć się da. Odebrał po piętnastym dzwonku.

– Cieciu, co ty jej naopowiadałeś? – zapytałem, rezygnując ze wstępu. Uprzejmości wymienimy, gdy znajdzie się ku nim powód. Teraz zdobyłbym się jedynie na

mocny uścisk dłoni, ale taki, który naprawdę miażdży kości. Niestety rozmawialiśmy przez telefon.

– O, kłopoty w raju – odpowiedział i zaczął się śmiać.

Wsadziłem samsunga do kieszeni. Wyciągnąłem gumę Orbit. Oczekałem chwilę, w której Mario uniknął wysłuchania audiobooka pod tytułem „Opierdol”. Przyłożyłem słuchawkę z powrotem do ucha.

– Już? – spróbowałem wrócić do tematu.

– Maciek, ale heca! – wyła ta ściśnięta gnida.

Cieszę się, że rozjaśniłem twój wieczór, ale wróćmy do momentu, gdy odpowiadasz na pytania o laskę, z którą się spotkałem za twoją namową – pomyślałem.

– Nie mów, że zrobiła te owoce morza?! – ryczał.

– Zrobiła, kutafonie. A ja przyjdę zrobić z ciebie owoc jabłoni wyjątkowo kwaśnej odmiany. Nawijaj, bo muszę wiedzieć, o co chodzi. A jak nie wiem, w czym rzecz, to robię się nerwowy i minuty w pleju naliczają się podwójnie.

– Wiesz, powiedziałem jej o twoich szlachetnych dziadkach. Że mają w herbie jakiś obierak.

– Obierac.

Wiedziałem, że przebywa na imprezie i przy takich okazjach zazwyczaj nie pija herbaty, ale najwyraźniej, oprócz wódki, wypił fiolkę serum prawdy i, co gorsza, wielce go bawiło psychiczne znęcanie się nade mną.

– No coś tam. Powiedziałem też, że macie tyle kasy, co gościu od Polszitu.

– Mieliśmy. Moi starzy zostali hippisami i przepuścili wszystko w Afryce. Wiedziałeś o tym, bucu.

– Niby tak, ale jak bym nie podkoloryzował, to numer byłby słaby. Macieju, powinieneś mi dziękować. Reklamę ci zrobiłem. Pomyśl tylko, laska uważa, że jesteś... – przerwał. – Co tam?! No już! Sorry, stary, muszę lecieć, bo mnie kolejka ominie. Wpadaj do nas. Ja pierdzielę... – Rozłączył się.

Miałem do wyboru dwie opcje. Iść tam i spuścić mu łomot. Teoretycznie doskonały pomysł, jednak Mariusz był trzy razy większy ode mnie. Wiadomo, jak by się to skończyło. Mariusz, przepaszam bardzo, czy byłbyś tak łaskaw, o ile ci to z niczym nie koliduje, i roztrzaskał moją twarz o własną pięść? Co ty na to, zainteresowany? Może jednak innym razem.

Z drugiej strony zarzygałem Kindze ścianę i miałem z tego powodu wyrzuty sumienia. Fajnie jest pozostawić po sobie ślad, ale lepiej, żeby wyrzył się w sercu niż na tapecie w cętki. Kazik może się cieszyć z muzykowania w Szydłowcu, ale mnie zadowoli dopiero orkiestra Opery Paryskiej. Taka jak tam, na czwartym piętrze. Niech ona przejmie batutę. Wracam! Przeprogramowałem GPS w głowie. Jako cel podróży wpisałem adres Kingi i zrobiłem w tył zwrot.

Super Mario

Nim się obejrzałem, doszedłem do Targowej. Deszcz chlusnął niczym z wiadra, by zepsuć mi fryzurę oraz zmoczyć bluzę, po czym przestał padać tak samo nagle, jak się pojawił. Przyjrzałem się temu zmokłemu chartowi, co udawał mastiffa, czyli sobie, i wyjąłem na próbę róg bluzy. Nie stała się ani odrobinę mniej mokra. Licha ze mnie wirówka. Z braku innych opcji winiłem za to Mario.

Zabluźniłem dwukrotnie, może dwudziestokrotnie. Pomachałem na pożegnanie Targowej, szerokiej praskiej arterii, na której nietutejsze dziewczyny mocniej ściskają torebki, a mężczyźni żałują, że bez blizny na twarzy gorzej wtapiają się w tło. Zawróciłem. Hej, pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej, bo uznała mnie za

pajaca bez manier. Udowodnię jej, że nie miała racji. Pod warunkiem, że najpierw przestąpię jej próg. Piętnaście minut temu przekraczałem tenże, tylko w odwrotnym kierunku. Przy odrobinie szczęścia i kapce kreatywności uda mi się ten manewr powtórzyć. I to tak, że zakończy się happy endem.

Pomyślałem: co by zrobił Scottie Pippen, najlepszy niski wysoki skrzydłowy?

– Po pierwsze, kichałbym na klapniętą fryzurę i bluzę przemokłą od deszczu – odpowiedział mój wyimaginowany przyjaciel.

Przybiliśmy pełną zrozumienia piątkę.

– Ale, Scottie, ty jesteś królem NBA, tobie kiepska fryzura ani nasiąknięta bluza nie mogą popsuć renomy, a mnie owszem. Spójrz tylko, jestem chudy, wręcz patyk. Moja fysis nie budzi szacunku.

– Matt, nic na to nie poradzę. Nie ja dostałem przydomek Magic, więc cudów nie czynię. Jestem tylko twoim wymyślonym kumplem. Pogadaj z tym prawdziwym.

Tak zrobiłem przed randką. Spytałem o radę Mariusza.

– Nałóż kilka warstw ciuchów – polecił don Mario, który zastępował mi ojca, ojca chrzestnego. Roztoczył nade mną parasol ochronny z pięści i szerokich pleców.

Nasza przyjaźń była wyjątkowa, dynamiczna, zmierzająca ze skrajności w skrajność. Raz kradliśmy konie,

raz odmawiałem ostatni pacierz, mimo że wszystkie zapomniałem.

Poznałem Mariusza na siłowni, na którą przyszedłem pobiegać w rytm muzyki klubowej. Na co dzień nią gardziłem, ale tu nie miałem nic do gadania, nie ja decydowałem o ścieżce dźwiękowej. Poprosiłem chłopaka z obsługi, żeby ściszył, a on to uczynił. Ze strefy sztangi dał się słyszeć pomruk. Przyjąłem to za dobrą monetę. Znaczy, że sztangista też dawno chciał ściszyć, ale wstydził się lub nie mógł o to poprosić.

Odpaliłem bieżnię i zacząłem standardowy maraton. Z nudów wsłuchiwałem się w odgłosy dyskotekowej muzyki. Marsz rozgrzewkowy mnie znudził, więc przyspieszyłem. Zsynchronizowałem bieg z przyciszoną muzyką i mogłem się uznać za integralny element siłowni, gotowy osiągnąć swój joggingowy zen. Uderzenia butów w taśmę bieżni zagłuszyły dźwięki z głośników. Bardzo dobrze, klasyka to to nie była, mała strata. Zrozumiałem jednak, że była to strata dla sztangisty.

Za późno. Dopiero po chwili zorientowałem się, że coś się zmieniło. Wytężyłem umysł, by ustalić, co. Sapanie na ławce ucichło, a raczej się przeniósło. Ciężki wdech, głośny wydech. Słyszałem je teraz przy uchu. Odwróciłem głowę i pierwsze, co zrobiłem, to straciłem równowagę, a taśma pociągnęła mnie na ziemię.

Rąbnąłem tyłkiem na linoleum, wylądowałem na wznak i uzyskałem dobry widok na dwumetrowego bizona z drutem kolczastym na jednym ramieniu i wężem boa na drugim. Maciek leży, któż pobieży? Wolałbym, żeby to jednak nie pobieżył on. Niestety stał nade mną i świecił okrągłą łysą czaszką. W ustach prezentował poczwórny garnitur zębów. Wytrzeszczone, bezrzęse oczy rozdzielał nos, wprasowany w owal prawdopodobnie w wyniku stoczonych walk.

Przypomniał mi się film z młodości. Dwóch hydraulików ratowało świat przed zagładą, a przy okazji seksowną panią archeolog *vel* córkę prawowitego króla krainy z innego wymiaru. Ścigał ich wielki, kwadratowy, napakowany bezmózg z małym, okrągłym, gadzim łepkiem. Długi płaszcz, kiepskie teksty i argumenty wyrażane za pomocą pięści.

– *Super Mario Brothers!* – przypomniałem sobie. Niestety na głos.

– Cooo?! – zagrzmiała góra mięsa, wyciągnęła rękę i podniosła mnie za koszulkę.

Strzepnąłem niewidzialny kurz, udając zrelaksowanego w jego wilgotnym uścisku. W środku trząłem się jak ratlerek na mrozie. Ile zostało mi czasu? Czy to ostatnia wizyta w fitnessie? Na tym łez padole? Sala zaczęła pustoszeć.

Taśma bieżni przesuwała się dalej w jednostajnym rytmie. Głośniki pod sufitem wibrowały klubową rąbanką. Oto ścieżka dźwiękowa ostatnich minut Macieja Borowskiego – serdecznego przyjaciela zwierząt, który starszym sąsiadom nie odmawiał pomocy. Kto żyje w sercu tych, którzy pozostają, nie umiera. Niech spoczywa w pokoju. Kompakty swe przekazują małej Andżelice spod piątki, dracena niech się zaopiekuje pani Wanda.

Sztangista nie pozwolił mi dokończyć testamentu, gdyż wolną ręką uderzył w panel bieżni. Taśma stanęła, sprzęt ucichł. Puścił mnie i trzepnął w ramię. Potrząsnął, sprawdzając, czy nie upadnę. Zachwiałem się, lecz zaraz znów poczułem jego uścisk. Zbliżył się o pół kroku. Strzelił powieką jak żaba i utkwił we mnie gały. Uznałem, że powinienem coś powiedzieć.

– Wyglądasz jak z Super Mario. Wiesz, taki film z lat dziewięćdziesiątych – zagrałem *va banque*.

– Żartowniś, w mordę jeża! – odparł bezrzęsy i zwinął palce w pięść. Dłoń, którą wcześniej uderzył w panel, wyglądała na nienaruszoną. Przeciwnie niż urządzenie.

Przybiegł pracownik siłowni. Chudy, drewniany w ruchach chłopiec, podobny do mnie z figury, lecz bardziej mroczny, z czarną grzywką na pół twarzy i gorszą koordynacją ruchową. Podszedł i zaczął ostrożnie

odginać palce bizona. Jeden po drugim, jakby były z plasteliny. Uwolniły koszulkę, a ja odetchnąłem pełną piersią. Chłopak z obsługi chyba zapytał, co jest, ale tak cicho, że ledwie usłyszałem.

– Mario – powiedział po chwili. Tego byłem pewien. Imię, choć wymówione szeptem, zadudniło mi w głowie jak dzwon.

Oj, narozrabiałem. Wykrztusiłem o trzy słowa za dużo. Najwyraźniej nie ja pierwszy skojarzyłem sztangistę z filmem. Gdybym wiedział, że dostanę od życia jeszcze jedną szansę, obiecałbym poprawę, jednak przewracający gałami Mario nie wyglądał na dobrego samarytanina. Wyglądał na faceta masującego pięść, eks-koleżankę panelu od bieżni. Wstrzymałem oddech i naszykowałem kolana, żeby w razie czego uskokoczyć, ale nie zainkasowałem żadnego ciosu. Bizon obrócił się do chłopca z drewna i wycedził zadziwiająco niskim głosem o harmonijnej barwie:

– Ten patyk śmiał się z mojej ksywy.

Miałem rację, prawidłowo zinterpretowałem problem. Tylko dlaczego w tej chwili nie triumfowałem?

– Skąd... miał... wiedzieć? – wycedził tamten. – On jest dla ciebie za cienki... ten patyczak. A ty jesteś... – zaciął się, poczerwieniał. Czy ktoś na sali potrafi udzielić pierwszej pomocy?

Drewniany dokończył bez słów, kładąc dłonie na wysokości własnego serca. Co to znaczy? Że bizon jest serdeczny? Dusza człowiek? Kuba Rozpruwacz?

– Aha – podsumował tamten, odgadując gest. Ja nie zostałem wtajemniczony.

– Jeśli mogę coś wtrącić – odezwałem się, uspokoiwszy tętno – wcale nie jestem taki słaby, na jakiego wyglądam.

Lubię ryzyko. Bez niego byłbym nudnym wielbicielem prozy Hemingwaya i spacerów po podmokłych rozłogach, a właśnie dostałem szansę poswawolić.

Bizon spojrział bezrzęsyimi gałami na chłopaka z obsługi, który ukrywał twarz pod woalem z czarnej grzywki i zaczął rechotać tak, że nie miałem możliwości dokończyć wyjaśnień. Gdybym poszedł teraz wziąć prysznic, zmienić buty, nakarmić kota, wysadzić w powietrze Kapitol, cokolwiek, on nadal by rechotał jak żaba po haszyszu. Jestem pewien.

– Poważnie – nie dawałem za wygraną. Bizon także. – Niech szanowny kolega zmierzy się ze mną na bieżni. Jeśli odpadnie pierwszy, uznamy konflikt za niebyły i zawrzemy przymierze. Wszak zgoda buduje, a niezgoda rujnuje, a widzę jak na dłoni, że towarzysz Mario... Czy mogę się tak do pana zwracać? Widzę, że towarzysz z tych budujących raczej się wywodzi.

Grzywka jęknął, czyli wydał dźwięk stanowiący wizytówkę swojego wizerunku. Niejeden raz miałem się później przekonać, że odgadywaniem natury człowieka nie powinienem zajmować się zawodowo, bowiem rzadko trafiałem. Jednak w tym przypadku bezbłędnie rozpracowałem Sylwestra, bo takie imię nosił ów drewniany chłopiec. Odzywał się niewiele i jeśli już, to z trudem. Wolał trwać we własnym odosobnieniu, skryty pod czarną płachtą włosów. Przeczesał je na bok, odsłaniając jedno z wilgotnych od łez oczu. Posiadał i drugie w pełni sprawne oko. Mogę zaświadczyć, bom je widział w użyciu, ale to ani czas, ani miejsce, żeby rozprawiać na ten temat.

Bizon przeciwnie, niczego nie skrywał, świecił łysą czaszką, przewracał gałkami i jakby stopniowo odzykiwał przytomność.

– A w dupę – stwierdził wreszcie. – Czemu nie.

Wgramolił się na bieżnię, pokręcił kostkami u stóp na rozgrzewkę i wrzucił szybki bieg. Zrobiłem dokładnie to samo, tylko o jedną bieżnię dalej. Ta, która nas dzieliła, była czasowo niedostępna.

Wspominałem wcześniej, że jogging uprawiam codziennie. Zapomniałem dodać, że biegam po dziesięć kilometrów. I to od lat. Zazwyczaj po Lesie Kabackim, ale wtedy, gdy się poznaliśmy z Mariuszem, zima trwała w najlepsze, a ja miałem słabą odporność. Dlatego

na kilka miesięcy przerzuciłem się na siłownię. Ta była pierwsza z brzegu.

Biegliśmy może dziesięć minut, a łysy już tracił oddech. Gdybym powiedział, że zrobił się czerwony na twarzy, byłoby to poważnym niedoszacowaniem. Cała jego czacha, nawet za uszami i na czubku nosa, wyglądała jak dojrzała malina. Z czoła kapał mu pot, spływał właściwie strugami. Nawet drut na ramieniu i boa dusiciel wydawali się tracić kontury. Bizon zaczął sapać niczym lokomotywa i efektownie gubić krok. Ale złej baletnicy to i rąbek u spódnicy przeszkadza, więc nie komentował sytuacji. Biegł dalej, starając się wyglądać jak zawodowiec. Ziewając, przyspieszyłem licznik. Wydłużyłem krok i zacząłem biec sprężysto, lekko jak w stanie nieważkości. Bezzęsy łypnął na mnie i złapał się uchwytów.

Niektórzy myślą, że uchwyty z przodu bieżni służą do podtrzymywania biegacza, który się zawziął, że nie spadnie. W rzeczywistości mierzy się za ich pomocą tętno. Zapaściłem żurawia na wyświetlacz bizona. Sto sześćdziesiąt siedem. Nieźle. To już kwestia czasu, kiedy wyzionie ducha. Docisnąłem licznik i tak spędziliśmy kilka kolejnych minut. Łysy utrzymywał się na skraju bieżni, nie dosięgając już panelu. Nie mógł nacisnąć guzika, żeby dotrzymać mi kroku.

Zanuciłem coś pod nosem dla podkreślenia efektu lekkości. Bizon nie wyglądał jakby chciał podchwycić

melodię. W końcu poprosiłem tego z obsługi, żeby przykręcił klimatyzację.

– Ździebko tu chłodno – wyjaśniłem z uśmiechem.

Mój rywal był innego zdania. Puścił uchwyty, za-
bulgotał niby silnik junaka i odwrócił czerwony łeb
w moją stronę. Przy takiej prędkości i takim zmę-
czeniu należy się skupiać na nogach, ale czy ma sens
tłumaczyć rogaciznie, jak używać kopyt? Zaplątał się
i dokonał tego, co ja paręnaście chwil temu. Runął na
glebę. Łup!

Biegłem nadal, obserwując kątem oka, jak Grzywka
schylił się nad poległym i zaczął mu udzielać pierw-
szej pomocy. Łysy go odtrącił, podniósł się z podłogi,
zatonął, oparł o bieżnię, która tak bezwzględnie go
potraktowała i ostatkiem sił wymierzył cios panelowi.
Sprzęt do biegania nie cieszył się dziś jego estymą. Obi-
jając się o ściany, dotarł do szatni i zniknął za drzwiami.
A na zachodzie, czyli u mnie, bez zmian.

Wyszedł, już przebrany, ale wciąż z bordową twa-
rzą, po jakichś piętnastu minutach. Przycisnąłem guzik
przyspieszenia i pomachałem, mówiąc:

– To co, jutro powtórka?

Bizon, choć wyglądał jak brat bliźniak stwora z filmu
i choć nasze pierwsze *tête-à-tête* nie wróżyło dozgonnej
miłości, okazał się wspaniałym przyjacielem. Sylwester,
wielbiciel muzyki emo, a prywatnie brat Bizona, nie

pomylił się, tytułując go duszą-człowiekiem. W pierś Mariusza biło gołębie serce, a wytatuowane łapska unikały przemocy, o ile nie prosiłem, by ją zastosował. Super Mario, jego ksywa pochodząca z filmu stała się naszym prywatnym żartem, chyba że ktoś postronny pozwolił sobie na głośny komentarz. Wtedy odwracałem głowę, znajdowałem sobie inne zajęcie, a kwestia przezwiska stawała się problemem kogoś innego. Poważnym problemem, którego rozwiązanie wymagało użycia radykalnych środków.

Mariusz nie odżegnywał się jednak od swojego miana. W ramach prowokacji kupił sobie wojskowy szynel po kostki, ciemnozielony, zaopatrzony w szereg kieszeni, który zakładał tylko na specjalne okazje. Na przykład założył go na rozmowę o pracę w call center, wywołując w dziale HR spore zamieszanie. Część komisji rekrutacyjnej bała się go, bo zakapior, inni się wahali, bo tolerancyjni – aż dali chłopakowi tekst do przeczytania.

Nie dokończył pierwszego akapitu, a komisja wbiła pieczęć „przyjęty”, ponieważ – jak wspominałem – mój przyjaciel posiadał zachwycający radiowy głos. Managerowie call center stwierdzili, że skoro Mariusza nie widać, poziomowi sprzedaży nie grozi spadek. Tak Super Mario został sprzedawcą polis i kredytów, często angażowanym do negocjacji z klientem zagranicznym.

Elegancki głos i angielski akcent, zdobyty podczas pracy na budowie w Anglii, gwarantowały mu wysoki procent sprzedaży. Realizował się jako agent i częsty pracownik miesiąca, a w chwilach wolnych od pracy jako mój najlepszy kumpel i dorywczo ochroniarz. Nasza przyjaźń jest jedna na milion.

Koneser

Ach, te wspomnienia. Jak wspaniale potrafią umilić spacer po wilgotnej Ząbkowskiej. Tam, gdzie co druga latarnia gaśnie w obawie, że zdradzi przechodniowi jakieś sekrety. Brzeska, Markowska, malownicze przecznice, nawoływały: spocznij, wędrowcze, w moim cieniu. Miło cię gościć. Przyjaciele z okolicy dostarczą rozrywek, jakich świat nie widział. Nie uciekaj! Nie ma powodu do paniki!

Zarzuciłem torbę na ramię, ręce wsunąłem do kieszeni spodni, udając, że coś w nich trzymam, w sensie broń, choć w rzeczywistości trzymałem tylko komórkę. Szedłem, rozglądając się uważnie wokół. Podziwiałem spowite mrokiem kamienice. Tu zabite dyktą okno, tam pozieleniała brama. Zaciek goni grzyb, szara plama

otula łupież tynku. Niebieska Madonna strzeże fasady poznaczonej dziurami po kulach. Kocie łby to tu, to tam, drzwi zamknięte na skobel. Kot myje się w cieniu klatki schodowej, pielęgnuje czarne futerko. Przy misce leży martwy szczur.

Pomyślałem o Kindze, o jej kibici smukłej, i odgrodziłem się od ponurego otoczenia. Byłem już o dziesięć kroków od jej drzwi, układając w głowie pojedynczy scenariusz rozmowy, kiedy nagle dostrzegłem dwóch facetów, którzy opierali się o mur z napisem *Łysy nadchodzi*. Obaj mieli ogolone głowy, nie wiedziałem więc, który z nich jest właściwym Łysym, czy już nadszedł i czy oznacza to dobre wieści.

Za późno się zorientowałem i nie miałem możliwości ich wyminąć, więc nasze ścieżki się przecięły. Ten z lewej był wyższy ode mnie o głowę i grubszy o kilka worków kartofli. Dumnie prezentował kurtkę z brązowych skórzanych łatek i czarne, kreszowe spodnie z kolorowymi wstawkami przy kostce. Pewnie nowe, choć niekoniecznie kupione. Spomiędzy spodni i kurtki wystawał owłosiony pępek. W ręku grubas trzymał butelkę Żywiec Zdrój. Płyn w środku miał dziwnie mętny wygląd, więc byłem pewien, że to nie woda. Bimber? Zaciągnął się śmierdzącym papierosem. Aż tu go poczułem. Drugą fajkę zatknął za prawym uchem, trzecią za lewym. Co chwila je

poprawiał. Oddychał świszcząco i raz po raz odchrząkiwał.

Drugi facet był niższy od kumpla i ode mnie, ale za to mocniej zbudowany. Jego postawa mówiła, że on tu rządzi, szefuje koledze, trzęsie okolicą i nie wiadomo, jaki interes prowadzi. Wołałem nie pytać. Pod srebrnym, matowym dressem nosił gruby, czarny golf. Z kieszeni wystawały rękawice piłkarskie. Na nogach miał czarne mokasyny. Nocny bramkarz elegant, gatunek na wymarcu. Wyrwał koledze butelkę z dłoni i pociągnął solidny łyk.

Próbowałem przejść koło nich jak gdyby nigdy nic. Na pewniaka, prężnym krokiem. Gdy już myślałem, że się obędzie bez rozmowy, Łatka zarzęził i zabrał głos:

– Ziomal, masz fajkę?

Wiedziałem, że to zwiastuje kłopoty. Ten facet był przecież chodzącym dystrybutorem tytoniu, więc jego pytanie musiało mieć inny cel.

– Nie, nie palę – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Kto pije i pali, ten nie ma robali – zauważył, na zmianę rechocząc i charcząc.

Co do robali w organizmie Łatki, miałem pewność, że mu nie grożą. Wszystkie wytruł. Na jego miejscu przejąłbym się inną jednostką chorobową. Zacząłbym od płuc.

– No to mamy problem – odezwał się niski, wciskając kumplowi butelkę z mętną wodą.

Jednocześnie zredukował odległość względem mnie i przyjął postawę, którą na kursach asertywności określa się jako agresywną. Wiedziałem, co to oznacza, lecz nie zamierzałem się poddawać. Jeśli myślał, że grzecznie pokażę, co mam, że wyciągnę portfel, telefon i każę wybierać, wskażę miejsce, gdzie najlepiej wbijać nóż i kopać, był w błędzie. Przypomniała mi się rada Mariusza. Nie zachęcał może do zachowania asertywnego, ale do niespodziewanego – owszem. A widząc tych dwóch, stwierdziłem, że najlepszą obroną może być zaskoczenie, bo – bez urazy – ale nie wyglądali na takich, którzy złapią w lot, o co chodzi.

– Jeśli nie chcesz za mocno oberwać, udaj trupa. Zrób zdechł pies – poradził Mariusz podczas jedynej lekcji samoobrony, jakiej mi udzielił.

Zaprotestowałem, bo poddawanie się bez walki uważam za rzecz niehonorową.

– Poza tym, Mariusz – powiedziałem – ty nie posłużyłbyś się taką techniką.

– Ja nie – odparł. – Ale spójrz na siebie, stary. Wierz mi, to działa. Nie wiem dlaczego, po prostu działa.

Też nie wiedziałem, lecz oto nadarzyła się okazja, aby sprawdzić. Nie robiłem sobie jednak złudzeń, to niejedyna wskazówka Mariusza, która przyniosła marny skutek.

Oddech Łysego wpadł mi w nozdrza. Skrzywiłem się, bo śmierdział wódką. Zrób to teraz albo będzie za późno – pomyślałem, zamknąłem oczy i runąłem jak worek z węglem. Upozowałem swoje ciało w niebanalny wzór. Nogi ułożyłem w taki sposób, że przypominałem zatrzymanego w kadrze biegacza. Prawą rękę wysunąłem, jakbym wisiał na krzyżu, lewą dłoń kurczowo zacisnąłem na uchwycie sportowej torby. Tej, której logo nie przypadło Kindze do gustu.

– Co jest?! – usłyszałem głos niskiego. – Człeniu! – Poczułem na żebrach jego kopniak.

Napiąłem wszystkie mięśnie, szykując się na jeszcze, ale na tym skończył się nasz kontakt fizyczny w wersji „ja cię kopię, a ty śpisz”. Podkurczyłem nogi, żeby jakoś odreagować ból, z nadzieją, że tego nie zauważą.

Jeden z łysych, sądząc po smrodzie potu i nikotyny – Łatka, ukucnął obok mnie. Wysapał ciężkie: *uch* i zabrał się do przeglądu kieszeni. Zakląłem w duchu, bo w lewej tylnej trzymałem portfel. Poczułem, jak przesuwa palcami po moim pośladku i podejrzenie długo trzyma na nim dłoń. Ta kieszeń akurat była pusta. Znowu sapnął. Wstrzymałem oddech, obawiając się tego, co może mnie czekać oprócz kradzieży. Wreszcie przesunął rękę, wymacał portfel, wyciągnął go i wstał z klęczek. Jest szansa, że się uchowam. Może już więcej nie ukucnie i nie sprawdzi, że z przodu mam

telefon. I nie tylko telefon, do diabła! Usłyszałem rozrywanie rzepa i odgłos plastikowych kart lądujących na chodniku.

– Ta nie. Ta też. Nie, nie, nie. O! – Zagwizdał, przeglądając pełen pakiet moich danych osobowych, kart kredytowych i zniżek między innymi do Peek & Cloppenburg. – Pitbull, zobacz to. – Założyłem, że pokazał kumpłowi, o co chodzi.

Pitbull to musiał być ten drugi. Określenie pasowało do króla rewiru. Przedmiotem, na który gruby zwrócił uwagę, był zapewne mój as z rękawa trzymany w portfelu. Chętnie wyjaśniłbym, co mam na myśli, ale musiałem się skupić na udawaniu trupa, na prowadzeniu mojego pojazdu, o ile wciąż miał zmierzać równą drogą, a nie zsunąć się ze skarpy w dół, do piekielnej otchłani.

Pitbull warknął, czemu towarzyszył tępy płask.

– Nie używaj przy nim mojej ksywy, idioto!

Śmieszny facet. Chciał pozować na obytego zbira. W dodatku cieszącego się poważaniem kolegów, którzy wykonują za niego całą zbójczą robotę. Gdyby doszło do zdemaskowania, zapewne utrzymywałby, że w ogóle nie maczał w tym palców. Nawet jednej plastikowej karty przecież nie dotknął. To gruby zbierał fanty. Tylko o jakim zdemaskowaniu mówimy? Że znam jego przezwisko? A niby co miałbym zrobić z taką

informacją? Popytać na Ząbkowskiej, czy nie znają faceta rasy agresywnej? Bo do budy mi potrzebny? Dom stawiam i pies do pilnowania by się przydał?

– Co tam pisze? – zainteresował się niski. Polonista.

– Ciemno. Nie widzę – odpowiedział gruby, po czym szurnął niezdarnie, zahaczając o moją prawą stopę.

Myslałem, że ją zdepcze dla przykładu, lecz nie zrobił tego. Pewnie się bał podejmować działania na własną rękę, bez porozumienia z szefem.

– Człeniu, podejdź do latarni – polecił mu tamten.

Wydawał rozkazy, nie kiwając nawet palcem. Świetna strategia. Gdy będę chciał kogoś obrobić, wezmę kumpla, żeby załatwił za mnie sprawę. Mario już pewnie zaciera ręce.

– Ale ona jest daleko – zauważył niepewnie grubas.

Typ jowialnego koleżki, z inteligencją na bakier, zrobił się nagle poważny i chyba przestraszony, ale raczej nie ja tak na niego działałem.

– Boisz się, że ktoś cię po drodze napadnie? To my tu napadamy, idioto – zauważył niski.

Na chodniku szurnęło, ciężkie ciało uskoczyło i sądząc po jękach, z trudem odzyskało równowagę, więc uznałem, że Łatka uniknął kolejnego uderzenia w głowę. Potem rozległy się kroki. Stopy ciągnięte po chodniku wydawały odgłosy jakby nasze towarzystwo opuszczał nie człowiek, lecz słoń morski. Odchodził

coraz dalej i dalej. Razem z nim oddalił się smród papierosów.

Niski został przy mnie. Słyszałem, jak przestępuje z nogi na nogę, stukając podkutymi blachą mokasykami. Z pozoru delikatne buty, a mogły czynić poważne szkody. Miałem się o tym przekonać niebawem. Czas dłużył mi się jak podczas oglądania z dziewczyną *Chirurgów*. Było zimno i mokro. Połową pleców przykrywałem kałużę, która się zebrała w załamaniu płyty chodnikowej. Czułem to załamanie pod prawą łopatką, ale nie mogłem zmienić pozycji w obawie przed zdemaskowaniem.

Niski kucnął przy mnie i zaczął przeglądać torbę. Wymacał na spodzie pęk kluczy, jednak nie słyszałem, żeby je wyciągnął. Nic dziwnego, w środku znajdowały się fanty o wiele ciekawsze dla takiego sportowca jak on.

– O, zajebiste adidas! Zobacz, łajzo! – zawołał do Łatki, którego kroki powoli się do nas zbliżały.

– Bierzemy? – stwierdził tamten. Ocenilem, że znajduje się parę metrów od nas. Podszedł bliżej. – Mój numer, przydadzą się. Moje są takie dziurawe, że wyglądają jak głodne.

Cieszyłem się, że mam zamknięte oczy i nie muszę patrzeć, jak grubas wystawia brudne paluchy przez otwory w butach. Poczulem za to swąd dojrzałego sera

i kwaśnego potu. Skrzywiłem się, ale nie zauważyli, zając kartką, którą tłuszcioch znalazł u mnie w portfelu.

– Co tam napisali? – zainteresował się niski.

– Stary, to jakiś trefny gość – odrzekł grubas. – Piszą tu, że ma cukrzycę i żeby go odwieźć do szpitala. – Zaśmiał się. – Chyba żart. Że niby idziemy do lekarza i mówimy, że facet padł, więc skorzystaliśmy z okazji i go obrobiliśmy? A przypadkiem wyszło, że choruje na cukrzycę.

Odpowiedziała mu cisza. Nie byłem pewien, czy powinienem ją interpretować na swoją korzyść.

– Hej, co z nim zrobimy? – zapytał niepewnie spaślak.

– Lepiej go zostawmy – zdecydował niski.

To wszystko, co powiedział. Nie ukrywam, że mnie ten scenariusz odpowiadał. Miałem szansę uratować skórę. Co do reszty, to po prostu kilka dodatkowych spraw do załatwienia w urzędach.

– I tak nie mamy go czym zawieźć – zauważył Łatka.

Zaczynałem mu współczuć. Z uporem maniaka robił z siebie kretyna i zbierał kolejne cięgi od szefa. Nie zdziwiłem się, usłyszawszy charakterystyczny plask – efekt spotkania jego łysej głowy z dłonią niskiego, doskonale wyćwiczonego w piłkarskiej bramce.

– Matole, chyba nie myślałeś poważnie o tym szpitalu? – spytał niski retorycznie, a ja miałem nadzieję, że nie padnie odpowiedź.

Nie padła. Widać grubas w jakimś stopniu potrafił wyciągać naukę z reakcji na swoje zachowanie. Zauważył wręcz przytomnie:

– Tylko nie możemy go zostawić w tym miejscu. Teraz nikt nie idzie, ale już przestało padać. Ludzie zaczną się złazić i wtykać nos w nie swoje sprawy.

– Racja, człenu – zgodził się niski, choć był ostatnią osobą, jaką podejrzewałbym o przytakiwanie komukolwiek w jakiegokolwiek sprawie. – Zaciągnijmy go pod Konesera.

Tłuścioch ujął mnie pod pachy i przeciągnął parę metrów pod ogrodzenie historycznej wytwórni wódki. Wstrzymywałem oddech, żeby nie czuć smrodu. Niski szedł przed Łatką, więc mogłem uchylić powieki i zobaczyć, że ciągną mnie do cienia parkanu, i stwierdzić, że zbieram po drodze kępy mchu, a kamienie wsuwają mi się do tylnych kieszeni. Błoto rozcieńczone w kałużach oraz twardsze grudy, które oparły się działaniu kwaśnego deszczu, niszczyły mi odzież i przenikały przez skórę do krwiobiegu. Natnijcie naskórek w dowolnym miejscu, a z rany wypłynie brunatna maź – pomyślałem.

Grubas upuścił moje sfigowane zwłoki pod ogrodzeniem i na odchodne postanowił zabrać torbę. Ja na to, jako praktykujący nieboszczyk, odpowiedziałem objawem pośmiertnego skurczu, o którym wyczytałem

kiedys w Wikipedii. Stwierdziłem, że idealnie nadaje się do moich potrzeb. Zacisnąłem dłoń na uchwycie z nadzieją, że uda mi się uratować dobytek. Przy odrobinie szczęścia wrócę stąd z workiem, pękiem kluczy ukrytym gdzieś w zakamarkach podszewki i szczęśliwymi spodenkami.

– O mamó! – zawyłem. Na szczęście uczyniłem to w duchu.

Niski wyeliminował objaw skurczu pośmiertnego, serwując mojej łapie porcję mokasy na cienkiej podszewie, ale za to z ostrym nadzieniem. Dłoń, sprzeciwiając się mojej woli, zwiotczała. Grubas podniósł torbę i dokończył przegląd zawartości.

– Czego jeszcze szukasz? – Pitbull zignorował moje nieme jęki. Jemu, widać, też zależało, żeby się stąd jak najszybciej wynieść.

– Tak patrzę.

– To skończ. Ktoś idzie od Targowej.

– Ale te spodenki! – nie odpuszczał gruby, szeleszcząc siatką ze strojem na siłownię. Moja łapa, korzystając z okazji, zaczęła pulsować.

– Wbijesz się w nie? – Niski zarechotał nerwowo. – Dobra, weź. Opchniemy na bazarze. I nie zapomnij o adidasach.

Usłyszałem, jak rzuca czymś w kolegę. Tamten stęknął i posłusznie wepchnął buty do siatki.

– Wyjeb torbę. Badziew jakiś. Pełno dziur – zarządził niski.

Uchyliłem powiekę. Stali do mnie bokiem, więc mogłem obserwować, jak tłuścioch bierze zamach i rzuca torbę w stronę, w którą nie mogłem obrócić głowy. Nasłuchiwałem, gdzie poleci, żeby ją później znaleźć, ale zamiast pacnięcia, które wskazałoby orientacyjny kierunek, usłyszałem:

– A chuj, niech wisi.

Potem się odwrócili i ruszyli w nieznanym kierunku.

– Gdzie idziemy? – zapytał gruby, gdy odprowadzałem ich plecy wzrokiem.

– Ile miał w portfelu?

– Trzy dychy.

– Na kebab, członku, i na kolkę. Stać nas. – Zarechotał, ja zaś poczułem ból i głód.

Niewiele dzisiaj zjadłem, a to, co poskubałem u Kingi, wylądowało na ścianie w jej przedpokoju. Głód był konsekwencją sytuacji, w jakiej się znalazłem. Teraz jednak miałem pilniejsze sprawy na głowie. Zaryzykowałem zmianę pozycji, ale dopiero wtedy, gdy dookoła zrobiło się cicho. Na ulicy byłem tylko ja. Człowiek, który szedł od Targowej, najwyraźniej skręcił. Ulżyło mi, ubranie i rozkwaszony pomidor zamiast dłoni odbierały mi status anonimowego przechodnia. Przyciągałem uwagę jak mysz w klatce z węzami, a wołałem

pozostać incognito. Miałem w planach wdrapanie się na parkan Konesera, z którego zwisała torba Adidas. Nie chodziło o żadne emocjonalne więzi, po prostu w środku znajdowały się klucze, a z nimi wejście do domu jest znacznie łatwiejsze niż bez. Nie marzyłem o niczym innym, jak wziąć prysznic i przespać resztę nocy we własnym łóżku.

Wstałem, zignorowałem swój wygląd i złapałem zdrową ręką za sztachetę. Wspiąłem się na murek i napotkałem dylemat. Oto torba znajdowała się w zasięgu mojej dłoni, tyle że jedną trzymałem się pręta, a druga, dzięki Łysemu, stała się bezużyteczna, więc zdecydowałem się na wyskok. Bez namysłu wzbilem się w górę, ściągnąłem torbę prawą ręką i upadłem na glebę. Kość ogonowa zderzyła się z chodnikiem. Jęknąłem bezgłośnie i poleżałem chwilę, póki nie ustąpił ból pięciu młotów górniczych urabiających moje ciało na miazgę. Ale klucze zdobyłem i to miało decydujące znaczenie.

Zwijąłem się spokojnie, jak typowa ofiara upadku z wysokości, wierzgałem konwulsyjnie nogami, napinając wszystkie nieużywane mięśnie. Ból właśnie zelżał, gdy kilkadziesiąt metrów w głąb Ząbkowskiej otworzyły się drzwi kamienicy i wyszła z nich nie-
zła laska w czarnym prochowcu. Nie musiałem się wpatrywać, żeby wiedzieć, że to Kinga. Z poziomu

chodnika zastanawiałem się, czy to dobry moment na dokończenie naszych zaległych spraw. Zważywszy jednak, że prezentowałem się nagannie, postanowiłem pozostać w cieniu i zagadnąć ją w bardziej dogodnym terminie.